INWESTYCJE

O tym, skąd się biorą miejsca pracy i co zrobić,
żeby było ich więcej. O dobrych czasach na inwestycje
i o pieniądzach publicznych. O Wrocławiu jako metropolii

Gdy porównuję moje obecne życie zawodowe z czasami, gdy prowadziłem firmę, dochodzę do wniosku, że poczucie obowiązku znacznie mocniej się we mnie odzywa teraz, niż przed paroma laty. Owszem, kiedyś dużo myślałem o zobowiązaniach wobec zatrudnianych pracowników, dynamice firmy, rodzinie etc. Teraz wszakże nieustannie towarzyszy mi świadomość, że zajmuję się wydawaniem nie swoich pieniędzy. W interesach – poza, jakże często chorą, sferą kapitalizmu państwowego – właściciel firmy zajmuje się własnymi pieniędzmi i wchodzi w relacje z innymi dysponentami własnych, prywatnych pieniędzy. Niekiedy bywa to trudne, wymaga fachowych umiejętności i jest obciążone ryzykiem. Jednak pod pewnymi względami – wypada je nazwać moralnymi – jest prostsze od dysponowania środkami publicznymi.

Ciągle powtarzam dwie oczywistości:

Po pierwsze – wydawanie wspólnych pieniędzy nakłada na kierującego sprawami publicznymi szczególnie silne zobowiązania.

Po drugie – pieniądze publiczne biorą się z podatków płaconych przez przedsiębiorstwa i przez indywidualnych płatników.

Samorząd lokalny w przeważającej części jest finansowany z podatków od osób fizycznych, z których większość pracuje w przedsiębiorstwach, w Polsce – szczęśliwie – już w większości prywatnych. Nie zagłębiając się w dyskusję, która z tych „baz podatkowych” (jakież to okropne określenie) jest bardziej pierwotna i ważniejsza, powiem tylko, że – przy moich gospodarczych doświadczeniach – staram się pamiętać zasadę: to ludzie płacą podatki. Są wśród nich i pracownicy, i pracodawcy.

Jakie powinny być podatki? Najkrócej rzecz ujmując: niskie (nawet bardzo niskie), proste, stabilne i skutecznie ściągane. Nie jest ani potrzebne, ani zasadne komplikowanie podatków gąszczem regulacji dotyczących wyjątków i ulg.

Odnoszę wrażenie, że nasz system podatkowy (jak i całość prawodawstwa gospodarczego) oparty jest na zasadzie, że ludziom nie można ufać. Trzeba ich w takim razie obezwładnić przepisami, onieśmielić grozą urzędów skarbowych, postraszyć wizją kontrolera, który zawsze znajdzie uchybienia. W systemie opartym na takim założeniu najlepiej radzą sobie oszuści.

Pozwolę sobie na kategoryczne stwierdzenie: państwo powinno ufać obywatelowi (i vice versa), a przepisy powinny być tego wyrazem. Prawo przecież wychowuje, kształtuje postawy. Natomiast z dzisiaj obowiązujących przepisów można jedynie wyczytać zachętę do korupcji i kombinatorstwa. Taki system prawny na pewno nie przyczynia się do wzrostu kapitału społecznego, o którym tak pisał Francis Fukuyama:

„Kapitał społeczny można zdefiniować jako zespół nieformalnych wartości i norm, które uznają członkowie danej grupy i które umożliwiają im współpracę. Jeżeli członkowie grupy oczekują od innych uczciwego postępowania, na którym można polegać, muszą ufać sobie nawzajem. Zaufa-

nie jest jak smar, który usprawnia funkcjonowanie wszelkich grup i organizacji”.[4]

Sądzę też, że lepiej jest podatnika darzyć zaufaniem, a nie znam lepszego sposobu obdarzania go zaufaniem niż niskie stawki, trwałe regulacje i brak rozwiązań specjalnych. Wszystko inne wymaga drogiej, mało efektywnej kontroli, burzącej przy okazji zasadę zaufania, niezwykle ważną w tkaniu materii społecznej. Jestem przekonany, iż nie wykonamy w Polsce prawdziwego skoku gospodarczego, jeśli nie uprościmy systemu podatkowego. Musi on być dla każdego zrozumiały, a rozliczenia podatkowe muszą się mieścić na jednej kartce papieru zapisanej łatwo sumującymi się liczbami.

Zatem niskie, proste, stabilne, dobrze ściągane podatki. I żadnych wyjątków. To warunek mogący zapewnić Polsce wzrost gospodarczy.

Trzeba pamiętać, że system podatkowy powinien sprzyjać odwracaniu niepokojącej tendencji demograficznej, która, niestety, zapanowała w Polsce. Ale i tę sprawę można ująć w prostym prawie podatkowym, efektywniejszym od „becikowego”, które wypływa ze szlachetnych intencji, ale niewiele załatwia. Wiemy zaś, że statystyczna polska rodzina to „2 + 1,23”. Wśród młodych wrocławskich rodzin jest jeszcze gorzej – szerzący się model DINK (*double income no kids* – „podwójne zarobki, bez dzieci”) doprowadził do średniej „2 + 0,89”.

Wskaźnik dzietności w Polsce jest zastraszająco niski, wynosi, jak pisałem, około 1,2, czyli do stopy zastąpienia pokoleń (na poziomie 2,1) brakuje bardzo dużo. Gdyby taka tendencja się utrzymała, to za kilkanaście lat (po 2020 roku)

---

[4] F. Fukuyama, *Wielki wstrząs, Natura ludzka a odbudowa porządku społecznego*, przeł. H. Komorowska i K. Dorosz, Warszawa 2000, s. 24.

zacznie nam ubywać ludności – będzie nas mniej o prawie 3 miliony. Przeciwdziałanie temu trendowi jest trudne i musi być wielokierunkowe.

Po pierwsze, zmieniają się wzorce kulturowe – we współczesnej cywilizacji wartość i znaczenie wielodzietnej rodziny bardzo zmalały. Wzrost aspiracji materialnych i konsumpcyjnych mieszkańców kraju pokonującego dystans cywilizacyjny jest oczywisty; szczególnie dotyczy to młodych ludzi. Z pewnością zmniejsza się gotowość do posiadania dużej rodziny.

Od 1990 roku przesuwa się wiek urodzenia pierwszego dziecka – z poniżej 23 lat do powyżej 25, a nawet już 26 lat. Jeszcze dalej odsuwany w czasie jest moment urodzenia drugiego dziecka – z wieku powyżej 25 do prawie 30 lat. Wśród dzieci urodzonych w danym roku, pierwsze dzieci stanowią już blisko 50%. Oznacza to, że młode rodziny pragnące mieć więcej niż jedno dziecko – mają kolejne dziecko znacznie później, niż to kiedyś bywało; dominuje model 2 + 1.

Lęk przed decyzją o dziecku (szczególnie drugim i kolejnych) spowodowany jest m.in. trudnościami związanymi z powrotem kobiety na rynek pracy (albo w ogóle startem zawodowym po urodzeniu dziecka). I to jest kluczowe pytanie: jak godzić aspiracje zawodowe i potrzeby rodzinne.

Z badań wartości istotnych dla polskiego społeczeństwa wynika, że (także wśród młodych ludzi) rodzina jest nadal na jednym z pierwszych miejsc. Właśnie dlatego fundamentalnym problemem jest godzenie pracy zawodowej i zadań rodzinnych. „Becikowe” tego problemu nie rozwiązuje…

Przykłady wielu krajów pokazują, że takie instrumenty nigdy realnie nie poprawiały wskaźników dzietności. Rozwiązaniem jest elastyczność w łączeniu pracy z pełnieniem funkcji rodzinnych, głównie związanych z wychowywaniem małych dzieci. Istotny jest też tani dostęp do przed-

szkola i dobre żłobki. Wydłużanie okresu macierzyńskiego ma sens tylko do pewnego momentu i nie rozwiązuje problemu. Większe trudności sprawia sensowne łączenie urlopu wychowawczego z pracą, np. w niepełnym wymiarze (jak w wielu krajach, gdzie holenderski wzór pracy kobiet w niepełnym wymiarze godzin upowszechnił się szeroko), poprzez wykorzystywanie go w czterech fazach lub dzielenie obowiązków między matkę i ojca (w Szwecji ojciec ma wręcz obowiązek wziąć urlop wychowawczy).

Wszystko to sprzyja utrzymaniu zawodowej sprawności kobiety i pozwala aktualizować jej kwalifikacje. Z punktu widzenia pracodawcy jest to bardziej opłacalne niż prowadzenie specjalnych szkoleń dla kobiety wracającej na swoje stanowisko pracy po długim urlopie wychowawczym. W takim modelu łatwiej (z biznesowego punktu widzenia) zaakceptować sytuację, kiedy w stosunkowo krótkich odstępach czasu kobieta (rodzina) ma drugie dziecko i następne.

Analizując rozwiązania przyjęte w innych krajach, należy zwrócić uwagę, że ważniejsze jest promowanie wśród pracodawców nowych postaw i wykorzystywanie elastycznych form zatrudnienia i organizacji pracy, niż zwiększanie państwowych świadczeń pieniężnych, które de facto zawsze zniechęcają kobiety do podejmowania pracy.

Warto też wykorzystywać mechanizmy podatkowe, by zachęcać rodziny do posiadania większej ilości dzieci. Są one przejrzyste (ulgi związane z urodzeniem i posiadaniem dzieci, specjalny bonus za urodzenie drugiego dziecka), zachęcają do pracy i osiągania dochodów, bo dopiero wtedy uzyskuje się realną korzyść. Jest to lepsze rozwiązanie niż proste świadczenia.

Czy w Polsce toczy się debata na ten temat? W Krajowym Programie Działań na rzecz Integracji Społecznej na lata 2006–2008 zapisano, odnosząc się do narzędzi polityki rodzinnej, że potrzebne są dodatkowe świadczenia, a co do in-

nych instrumentów i możliwości, to będzie się je analizować w 2007 roku. A czas ucieka…

Niemniej jednak trzeba pamiętać, że zjawiska społeczne są w dużym stopniu nieprzewidywalne. W końcu najliczniejsze roczniki wyżu demograficznego dobiegają właśnie (w 2006 roku) 25 roku życia. Może zatem jeszcze bardziej przesuwa się wiek urodzenia pierwszego (a także drugiego) dziecka?

Jeśli chodzi o pierwsze dziecko, to nie ma tu niebezpieczeństwa; wiele krajów ma wskaźniki w pewnym sensie gorsze – pierwsze dzieci rodzą się tam o wiele później. Zaś wiek kobiet rodzących drugie (i kolejne) dziecko nie powinien się zanadto przesuwać (patrząc na to, oczywiście, z punktu widzenia demografii; indywidualnie – każdy ma prawo wolnego wyboru…).

Trzeba zatem umieć połączyć cztery elementy:

- przywiązanie do tradycyjnych, rodzinnych wartości;
- szerokie systemy wspierające możliwości łączenia pracy i kariery zawodowej z rolą matki;
- prosty system podatkowy promujący wielodzietność;
- wprowadzenie podobnych zmian w systemie emerytalnym.

Rozrosła się ta marginalna uwaga o moich poglądach na podatki (i demografię), ale trudno tę kwestię oddzielić od uczciwego i efektywnego zarządzania publicznymi pieniędzmi. Bo każdemu, na kim spoczywa odpowiedzialność za dzielenie publicznych pieniędzy, zależy na tym, by miał co dzielić. Zarządzający wspólnymi finansami musi też dążyć do tego, aby środków publicznych, które mają być wydawane na wzrost jakości życia, było coraz więcej, a przyrost ten był dobrze ugruntowany.

W naszym mieście odnieśliśmy sukces w tej dziedzinie. Mam nadzieję, że okaże się trwały. Dziś (2007-2008) Wro-

cław ma trzymiliardowy budżet, a cztery lata temu mieliśmy do dyspozycji trochę ponad miliard trzysta milionów. Równocześnie spadło liczone procentowo zadłużenie – z niemal 60% do troszkę ponad 18%. Jedno i drugie, to znaczy wzrost budżetu i spadek zadłużenia, jest skutkiem świadomej polityki finansowej Miasta. Dzięki temu, że tak wydatnie zmniejszyliśmy dług, będziemy mogli zaciągać w najbliższych latach nowe kredyty i przeznaczać je na tak zwany wkład własny do dużych projektów europejskich, które przed nami. Wzrost naszego budżetu jest, co oczywiste, oparty na wzroście gospodarczym.

Cechą budżetów publicznych powinien być zatem ich możliwie ciągły i stabilny wzrost. No dobrze – ktoś powie – ale jak pogodzić deklarowaną przeze mnie przed chwilą niechęć do wysokich podatków z dążeniem do tego, by wpływy finansowe do kasy miejskiej były coraz wyższe (pomijając już prosty fakt, że władze lokalne nie mają prawa stanowienia podatków)?

Spróbuję rozwiązanie tego dylematu przedstawić obrazowo. Suma pieniędzy, w tym podatkowych, krążących w pewnej geograficznej przestrzeni, a zatem i zamożność tej przestrzeni, jest wprost proporcjonalnie zależna od prostego iloczynu: ilości osób pracujących pomnożonej przez średnią ich zarobków. Wynik tego iloczynu może być uzupełniony o pieniądze „przyjezdne”. W wypadku Wrocławia (i wielu innych miast w Polsce) te dodatkowe środki przywożą studenci i turyści. Uwzględnijmy także pieniądze wprowadzane do obiegu przez przedsiębiorstwa działające na danym obszarze. Są jeszcze pieniądze publiczne, będące wyłącznie pochodną jakiejś funkcji ujmującej powyższe czynniki. Inaczej mówiąc, wpływy do kasy Miasta są częścią „wypływów” z trzech wymienionych przeze mnie źródeł (dochody wrocławian i przedsiębiorstw, pieniądze przywiezione przez gości naszego miasta). Z jednym wyjątkiem:

są to (i będą jeszcze przez kilka lat) fundusze europejskie, które – jeśli tylko jako kraj nie staniemy się w Unii tzw. płatnikiem netto – stanowią rzeczywisty dodatek do środków wypracowanych w Polsce. Spośród czynników wpływających na wysokość budżetu Miasta najważniejszym jest przywołany iloczyn ilości miejsc pracy (czy aktywnych zawodowo wrocławian) przez średnią zarobków.

Polska nie jest krajem, który byłoby stać na szybki wzrost zarobków. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie życzę Polakom wzrostu pensji. Wprost przeciwnie! Chciałbym doprowadzić do przyzwoitego przyrostu grubości portfeli mieszkańców aglomeracji wrocławskiej. Jednak ten krok powinien być poprzedzony dwoma innymi: przyrostem miejsc pracy i wzrostem poziomu jakości życia.

Choć falę emigracyjną wywołuje zrozumiała chęć lepszego zarobkowania, to iluzją jest wiara w to, że szybki wzrost płac w kraju zatrzyma wyjazdy. Na ten manewr Polski obecnie nie stać. Co więcej, nasz kraj jest atrakcyjny z punktu widzenia wielu inwestorów krajowych i zagranicznych właśnie dlatego, że pensje są u nas niskie jak na standardy Unii Europejskiej.

Skoro zatem nie stać nas na podnoszenie zarobków, to powinniśmy „manipulować” pierwszym czynnikiem iloczynu, czyli ilością osób pracujących. Jak dotąd jedynym obszarem w Polsce, który dysponuje wystarczającą ilością miejsc pracy, jest Warszawa. Łatwo zauważyć, że zanim nastała faza wyjazdów do Dublina i Londynu, celem wypraw w poszukiwaniu pracy była stolica naszego kraju.

Wyzwaniem trudnym i fascynującym jest zaspokojenie głodu pracy młodych ludzi z wyżu demograficznego z lat osiemdziesiątych. Wyż ten – moim zdaniem błogosławiony z punktu widzenia przyszłości Polski – jest tak duży, że obecnie niemal co drugi człowiek wchodzący na rynek pracy Unii Europejskiej pochodzi z Polski!

Obecnie, jak pisałem, wszędzie poza Warszawą, nawet tam, gdzie bezrobocie jest stosunkowo niskie, mamy za mało miejsc pracy. Problemem jest nie tylko za mała liczba stanowisk, ale także zła struktura zatrudnienia. To, jak niewielu z nas pracuje, łatwo sobie uzmysłowić, patrząc na dane liczbowe dotyczące Warszawy i Wrocławia. W stolicy istnieją prawie dwa miliony miejsc pracy, w moim mieście jeszcze jakiś czas temu było ich trochę ponad dwieście tysięcy. Tymczasem Warszawa nie ma dwóch milionów mieszkańców, a Wrocław ma ich ponad sześćset tysięcy. Struktura zatrudnienia w stolicy Dolnego Śląska jest raczej typowa dla całej Polski. Oznacza to ni mniej, ni więcej, że struktura społeczna jest w naszym kraju dość anachroniczna, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę średnie europejskie. Tak zwany wskaźnik zatrudnienia, mierzący ilość osób pracujących w wieku 15–64 lata, wynosi w Polsce 53%, zaś w Unii Europejskiej (już poszerzonej, czyli złożonej z 25 krajów) 63%. W USA jest skądinąd jeszcze wyższy – sięga 73%. Nawet jeżeli weźmiemy poprawkę na funkcjonowanie tzw. szarej strefy, przytoczone dane i tak skłaniają do refleksji.

Bezrobocie jest jednym ze straszniejszych zjawisk pustoszących Polskę. Obawiałem się go i nadal obawiam we Wrocławiu niemal obsesyjnie. Gdy na samym początku mojej kadencji bezrobocie wzrosło w mieście (w regionie sytuacja była i jest, niestety, jeszcze gorsza) do prawie 14%, zrozumiałem, jak potężny to wróg i jak trzeba się napracować, by z nim nie przegrać. Dziś liczba osób pozostających we Wrocławiu bez pracy spadła poniżej 6%. Z końcem września stopa bezrobocia wyniosła 5,8%.. Tym samym spełniło się jedno z zobowiązań poczynionych przeze mnie wobec wrocławian: że doprowadzimy razem, w ciągu kilku lat, do spadku bezrobocia poniżej dziesięciu procent. I tę tendencję spadkową utrzymany.

Druga z obietnic sprzed czterech lat dotyczyła ilości tworzonych miejsc pracy, o jej realizacji już wspominałem. Zapowiedzieliśmy, że utworzymy w ciągu kilku lat w aglomeracji wrocławskiej 100 tysięcy nowych miejsc pracy. Podkreślam: w aglomeracji wrocławskiej. Rozumieliśmy dobrze, że trzeba zerwać z myśleniem w kategoriach wąsko rozumianego miasta. Aglomeracje stają się bowiem pewnymi bytami, niestety wciąż ustrojowo nieopisanymi w Polsce, ważniejszymi od samych tylko miast, na których i wokół których się rozciągają.

Zresztą mieszkańcy podwrocławskich miejscowości identyfikują się z Wrocławiem. Chyba prawie każdy mieszkaniec Mirkowa, zapytany podczas wakacji nad morzem, skąd pochodzi, odpowie najpierw, że z Wrocławia, a dopiero potem wda się w skomplikowane wyjaśnianie, że właściwie mieszka w Mirkowie, gmina Długołęka. A gdyby zapytać zajmujących się biznesem Koreańczyków, gdzie LG ulokowało swą największą w ostatnich kilkudziesięciu latach inwestycję, odpowiedzą najpierw, że w Polsce, potem – we Wrocławiu, a dopiero na sam koniec najlepiej zorientowani dodadzą – w Kobierzycach, pod Wrocławiem.

Pisząc o przyszłości Wrocławia, posługuję się dwoma pojęciami: „aglomeracja” i „metropolia”. Aglomeracją nazywam Wrocław z jego bezpośrednimi przyległościami – wioskami, miasteczkami, gminami graniczącymi z Wrocławiem. Zatem aglomeracja to Wrocław plus tzw. powiat ziemski. Natomiast mówiąc o metropolii, mam na myśli większy twór społeczno-przestrzenny, a mianowicie Wrocław i wszystkie miejscowości położone w promieniu mniej więcej 50 kilometrów. Metropolia wrocławska pokrywa się zatem z dawnym województwem wrocławskim (z czasów, kiedy Dolny Śląsk był podzielony na województwa: wrocławskie, legnickie, wałbrzyskie i jeleniogórskie); jest nawet nieco większa, bowiem wykracza poza Dolny Śląsk,

sięgając po miasta takie jak Oława czy Brzeg, który należy już do obecnego województwa opolskiego.

Metropolizacja to proces przekształcania się przestrzeni miejskich, polegający na zmianie relacji między miastem centralnym i jego bezpośrednim zapleczem oraz na nieciągłym sposobie użytkowania przestrzeni zurbanizowanych. Zmiana relacji polega na osłabieniu lub zerwaniu związków gospodarczych miasta z jego regionalnym zapleczem i zastąpieniu ich związkami z innymi metropoliami w skali kontynentu lub świata. Rola regionu ogranicza się do pełnienia funkcji mieszkaniowych i rekreacyjnych dla mieszkańców metropolii, nieciągłość zaś przestrzeni oznacza, że „sąsiadem" w sensie gospodarczym i społecznym nie jest już otaczający region, lecz odległa nieraz o setki, a nawet tysiące kilometrów inna metropolia.

Metropolizacja jest ściśle związana z procesem globalizacji. Widać to wyraźnie, jeśli przywołamy dziesięć cech charakteryzujących miasto-metropolię przytoczonych w 1999 roku przez Bohdana Jałowieckiego za Soldatosem:[5]

„Metropolia (w metropolii):

1. Przyjmuje pochodzące z zagranicy czynniki produkcji, inwestycje, siłę roboczą a także towary i usługi.
2. Przyjmuje zagraniczne firmy, siedziby i filie międzynarodowych przedsiębiorstw, banków, instytucje pozarządowe, naukowe i oświatowe oraz uniwersytety o znacznym udziale studentów cudzoziemców, a także placówki dyplomatyczne.
3. Eksportuje czynniki produkcji: przedsiębiorstwa, banki i instytucje społeczno-gospodarcze, kulturalne i naukowe.

---

[5] P. Soldatos, *La nouvelle genération des villes internationales*, Montreal 1987.

4. Jest połączona bezpośrednio siecią transportu i komunikacji z zagranicą – poprzez system autostrad, szybką kolej, lotnisko międzynarodowe.
5. Ma rozbudowaną „infostrukturę” i cechuje się intensywną komunikacją z zagranicą przez ruch pocztowy, telekomunikacyjny i turystyczny.
6. Ma rozbudowany sektor usług nastawiony na zagranicznych klientów: centra kongresowe i wystawiennicze, luksusowe hotele, szkoły międzynarodowe, wysokiej jakości pomieszczenia biurowe, międzynarodowe kancelarie prawnicze, międzynarodowe instytucje naukowe.
7. Występują środki masowego przekazu o zasięgu międzynarodowym.
8. Organizowane są różnego typu międzynarodowe spotkania: kongresy, wystawy, festiwale, imprezy sportowe i artystyczne z udziałem zagranicznych zespołów.
9. Znajdują się instytucje krajowe i regionalne zajmujące się relacjami zagranicznymi i mające międzynarodową markę (jak np. stowarzyszenia, kluby sportowe itp.).
10. Uprawiana jest przez miejskie instytucje publiczne lub prywatne paradyplomacja za granicą, której służy także członkostwo w organizacjach międzynarodowych (jak np. stowarzyszenia miast bliźniaczych, metropolii itp.)”.[6]

Wrocław to około 650 tysięcy mieszkańców (prawdę mówiąc trochę więcej, bo mamy 135 tysięcy studentów,

---

[6] I. Mironowicz, T. Ossowicz, *Metodologia badania degradacji obszarów o funkcjach metropolitalnych*, w: *Transformacja zdegradowanych struktur przestrzennych metropolii polskich*, red. T. Parteka, Biuletyn Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju PAN, zeszyt 223, Warszawa 2005.

z których tylko część to stali mieszkańcy miasta). Aglomeracja wrocławska to około 800 tysięcy mieszkańców, metropolia skupia ich ponad milion. Stanowi więc więcej niż $^{1}/_{3}$ Dolnego Śląska. Moim marzeniem jest, aby aglomeracja liczyła za jakiś czas milion mieszkańców. Ponieważ rodzi się u nas (i w Polsce, i we Wrocławiu) zbyt mało dzieci, więc potrzeba nam nowych mieszkańców. Tej idei służą nasze działania: podnoszenie jakości życia oraz promocja Wrocławia w kraju i za granicą. Rzecz jest trudna i wiąże się również (ale nie przede wszystkim) z pokonywaniem ewentualnych trudności w pozyskiwaniu pracowników (rąk – i głów! – do pracy), których jak dotąd nam nie brakuje. Może się jednak zdarzyć, że w perspektywie kilku lat odczujemy ich brak.

Polski rząd powinien jak najszybciej zająć się problemami migracyjnymi. Potrzebna nam jest dobra polityka migracyjna, której częścią powinno być otwarcie polskiego rynku pracy dla przyjeżdżających do nas obywateli ukraińskich i białoruskich.

Wrocław chciałby z czasem stać się ponad milionową metropolią. Nie ma chyba lepszego sposobu wspierania osadnictwa niż pomagać przyjeżdżającej do nas na studia młodzieży. Studia uniwersyteckie są przecież właśnie tym okresem, gdy zakochujemy się – w swoich partnerach życiowych i w mieście. To w czasie studiów rodzi się rzeczywiste przywiązanie do przestrzeni. Chcemy w związku z tym niezwykle intensywnie promować możliwość studiowania we Wrocławiu. Właśnie temu służyły wielkie kampanie reklamowe: „Wrocław – Twoje Klimaty” i „Studiuj we Wrocławiu”. Efekty są już widoczne. A jeśli będzie praca, mieszkanie, szansa na sensowny wzrost zarobków, jeśli wzrastać będzie jakość życia, to efekty będą stabilne. Kolejne kampanie reklamowe przed nami. Jeszcze w tym roku bę-

dziemy promować nasze uczelnie na Ukrainie, w następnych latach ruszymy do Chin i (prawdopodobnie) do Indii.

Urbaniści podkreślają, że rola metropolii wzrasta – rozwój cywilizacyjny coraz bardziej koncentruje się na obszarach metropolitalnych. Zarówno ze względu na swoje położenie, jak i potencjał akademicki i biznesowy, a także na swą historię, Wrocław ma ogromną szansę stać się prawdziwie europejską metropolią.

Czym są metropolie? Otóż są to zurbanizowane skupiska społeczno-przestrzenne, których znaczna część bazy ekonomicznej opiera się na kontaktach z innymi tego rodzaju skupiskami.

Mówiąc krótko:

- miasto metropolitalne to takie, którego znaczna część gospodarki opiera się na kontaktach i wymianie z innymi miastami metropolitalnymi;
- funkcje metropolitalne miasta to takie, których istotą są kontakty i wymiana z innymi miastami metropolitalnymi;
- wzrost gospodarczy w mieście metropolitalnym zależy w małym stopniu od obsługiwanego przez niego regionu. Wręcz odwrotnie – to rozwój gospodarczy regionu zależy od rozwoju funkcji metropolitalnych miasta metropolitalnego.

Wrocław jest dużym miastem leżącym między Warszawą, Berlinem i Pragą. Od każdego z tych miast dzieli nas odległość około 300 kilometrów. Wystarczająco blisko i wystarczająco daleko. Jeśli tylko uda nam się dzięki sieci autostrad i szybkiej kolei połączyć z tymi trzema stolicami, to możemy się spodziewać gigantycznego rozwoju. W naszym mieście koncentrują się bowiem rzeczywiste funkcje metropoli-

talne, jesteśmy wystarczająco liczni i wystarczająco otwarci na „umiędzynarodowienie”. Będziemy też w stanie zaoferować porównywalną z największymi jakość życia, za nieco niższą, zatem konkurencyjną cenę.

Czas pokaże, czy szansa zbudowania wspaniałej europejskiej metropolii zostanie wykorzystana. Wierzę w to głęboko i staram się o to ze wszystkich sił. Bo realizacja takich zamierzeń jest zgodna z najlepiej rozumianym interesem Wrocławia i Polski.

Nie ulega wątpliwości, że z punktu widzenia mieszkańców granice miasta nie mają większego znaczenia. Wrocław już żyje życiem aglomeracyjnym i trudno wskazać, na czym – z punktu widzenia mieszkańców – polega różnica pomiędzy zamieszkiwaniem w Bielanach Wrocławskich (nie będących częścią Wrocławia) a w Pawłowicach (które są częścią Wrocławia). Organicznie powstającej aglomeracji muszą wszakże towarzyszyć pewne poczynania organizacyjne i ustrojowe. Organizacyjnymi – związanymi z edukacją, transportem zbiorowym czy też promowaniem inwestycji (Agencja Rozwoju Aglomeracji Wrocławskiej) – już się we Wrocławiu zajmujemy.

Nadchodzi czas poszukiwania rozwiązań ustrojowych czy też formalno-prawnych. Wydaje się, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby w przyszłości Wrocław, jako pierwsze miasto w Polsce, powtórzył rozwiązanie zrealizowane w Hanowerze, gdzie wprowadzono Region Hanower, który wykracza poza miasto Hanower, ma własne, precyzyjnie określone kompetencje, bardzo duży budżet i demokratycznie wybrane władze (uchwałodawcze i wykonawcze, w tym wyłanianego w wyborach bezpośrednich Prezydenta Regionu).

Sądzę, że procesowi tworzenia metropolii powinien towarzyszyć proces decentralizacji miasta – organizmy urbanistyczno-społeczne (to znaczy zintegrowane urbanistycznie

i społecznie), takie jak Pawłowice, Leśnica czy też część Psiego Pola, powinny uzyskać więcej samodzielności. Przy okazji idzie też o to, by części Wrocławia oddalone od centrum uzyskały własnych gospodarzy i nowy impuls do rozwoju.

Aglomeracje powstają zazwyczaj wtedy, gdy miasta „wylewają” się poza swoje granice. A charakteryzując je, warto zacytować Lecha Wałęsę: „Zając nie wie, co to miedza”. Z nami jest tak jak z zającami: jeśli ktoś stawia dom czy fabrykę, to wszystko mu jedno, czy buduje jeszcze w granicach miasta, czy zaraz za jego granicami. W taki sposób powstają i rozrastają się aglomeracje, których rola jest we współczesnym świecie ogromna, w nich bowiem jest skoncentrowany rozwój cywilizacyjny.

O Mirkowie, Długołęce i Kobierzycach wspomniałem już, pisząc o aglomeracji wrocławskiej – przyszłej metropolii. Śpieszę dodać, że nie mam żadnych „imperialistycznych” zamiarów wobec miejscowości otaczających Wrocław. Wprost przeciwnie – jeśli rząd i parlament dostrzegą rolę metropolii i zechcą nadać im kształt ustrojowy, wówczas będę zdecydowanie występować o to, by znaczna część władzy była przekazana miejscowościom otaczającym Wrocław. To ogromnie ważne, by metropolie były dobrze zarządzane, bo to one – powtórzę raz jeszcze – będą liderami cywilizacyjnego rozwoju kraju.

Zapowiadaliśmy więc cztery lata temu ***(w 2002 roku),*** że w aglomeracji wrocławskiej powstanie 100 tysięcy nowych miejsc pracy. Świadomość spełniania tej obietnicy daje – nie ukrywam – wielką satysfakcję. Wspominałem już o czterdziestu kilku tysiącach nowych stanowisk pracy, związanych z obwieszczonymi w ostatnich trzech latach inwestycjami (Najnowsze wyniki finansowe pokazują, że tylko w ciągu 2005 i 2006 w samym Wrocławiu powstało

125 tys. nowych miejsc pracy, a wartość inwestycji w aglomeracji wrocławskiej w latach 2002-2006 wyniosła 5 miliardów Euro). Nowe miejsce w przemyśle – jak podają podręczniki ekonomii – powoduje powstanie kilku dalszych (kooperanci, dojazd do pracy, sprzątanie, ochrona, wyżywienie itd.). Czterdzieści tysięcy można więc pomnożyć co najmniej przez trzy. A przecież nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa.

Realizacja planu stworzenia ponad 100 tysięcy miejsc pracy była – proszę tego nie poczytać za wyraz fałszywej skromności – stosunkowo prosta. Zbiegło się bowiem kilka bardzo pozytywnych czynników. Najważniejszym z nich był wzrost gospodarczy, dalej wymienić trzeba napływ funduszy europejskich i pojawienie się fali inwestycyjnej związanej z przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej. Te impulsy wystąpiły przed paroma laty i nadal oddziałują na naszą gospodarkę. Mogą, jeśli je dobrze wykorzystać, spowodować realizację wielu inwestycji, zarówno własnych (niezwykle cennych), jak i obcych.

Ta obca fala płynie do Polski z trzech kierunków. Gotowe są inwestować u nas firmy z Europy Zachodniej, skuszone niewysokimi kosztami, stosunkowo wysoką jakością pracy i sąsiedztwem Unii. Również kapitał azjatycki i amerykański jest skłonny lokować tu swoje przedsięwzięcia ze względu na naszą unijną przynależność i dzięki rozwojowi technik komunikacyjnych.

To doprawdy frapujące, jak ogromne znaczenie miał nasz akt przystąpienia do Unii Europejskiej. Nie zmieniliśmy się przecież z dnia na dzień, sam proces akcesji trwał długo, a jednak wydaje się, jakby ktoś odkręcił kurek z inwestycjami nazajutrz po naszym przystąpieniu do Unii. Decyzja polityczna miała pewnie swój skutek psychologiczny, pękła bariera oddzielająca nas od świata, przedsiębiorcy z różnych krajów spostrzegli, jak wiele mamy do zaoferowania: niskie

koszty pracy, dobrze wykształconą kadrę, władających obcymi językami młodych ludzi.

Mamy więc szansę, o czym przekonuje dobitnie przykład aglomeracji wrocławskiej, wchłonąć trzy fale: zachodnioeuropejską (przywołam tylko hiszpańskiego potentata MCC, niemieckiego Siemensa, szwajcarskie Credit Suisse czy też szwedzkie Volvo), azjatycką (że wspomnę LG, Toshibę i Toyotę) i amerykańską (by wymienić choćby Google, Whirlpool, GE, HP i 3M). Co ważne, we Wrocławiu inwestują też polscy przedsiębiorcy, m.in. bracia Koelnerowie.

Historia firmy Koelnerów jest bardzo ciekawa. Po śmierci męża w 1983 roku Krystyna Koelner, matka wspomnianych braci, musiała przejąć niewielki zakład, jeśli tak można nazwać coś, co funkcjonowało w garażu... ich domu. Zakład zajmujący się produkcją drobiazgów z tworzyw sztucznych. Jakoś przetrwała wraz z synami do roku ’90. Razem tworzyli firmę rodzinną. Wolna Polska otworzyła przed Koelnerami nowe możliwości. Po latach ciężkiej pracy są niekwestionowanymi liderami w Europie Środkowowschodniej, a jej plany zakładają, że w 2010 roku będą trzecią co do wielkości firmą w Europie na rynku mocowań budowlano-przemysłowych. Niedawno kupili firmę brytyjską, która jako pierwsza wprowadziła na rynek budowlany kołki rozporowe. Słynny wieżowiec wznoszony w Dubaju wspiera się na przemysłowych mocowaniach wyprodukowanych w firmie Koelnerów. Zatem – można?

Przeczytałem ostatnio w „Polityce” niezbyt mądrą uwagę, że się wzajem od czasu do czasu poklepujemy po plecach, przypominając sobie, kto tak naprawdę generuje podatki. Sprostuję: ani się nie poklepujemy, ani przypominać nie trzeba, a jedynie cieszyć się z tego, że firmy rodzime są gotowe i zdolne do inwestycji, dorabiania się i tworzenia miejsc pracy.

W polskim systemie zachęt dla obcych inwestorów brakuje, moim zdaniem, dwóch ważnych elementów. Po pierwsze – nie stworzono reguł, które skłaniałyby do włączania polskich poddostawców w łańcuch zaopatrzeniowy dużych zagranicznych inwestorów. Po drugie – brakuje skutecznych instrumentów nacisku, by wielkie koncerny, lokując u nas nowe zakłady, nie pomijały działów R&D (z ang. *research and development*), czyli badawczo-rozwojowych.

Myślę, że owo systemowe pominięcie interesów polskich przedsiębiorstw, potencjalnie przecież zdolnych do kooperacji na dużą skalę z inwestorami zagranicznymi, wynika z braku pomysłu rządzących na rozwój rodzimej małej i średniej przedsiębiorczości. Podobne przypuszczenia nasuwają mi się, gdy myślę o braku mechanizmów wymuszających powstawanie lub przenoszenie do Polski działów R&D. Czyżby związane to było z brakiem wizji rozwoju przemysłu w Polsce? Powiem więcej: to skutek panującej u nas ignorancji – nie mamy pojęcia o światowych tendencjach rozwojowych. Jeśli ktoś mi udowodni, że jestem niesprawiedliwy, to chętnie przeproszę.

Matematycy potrafią ślęczeć godzinami nad upraszczaniem dowodów twierdzeń oraz ich sformułowań. Im prościej tym bardziej elegancko, ale też – tym lepiej. Podobnie jest z przepisami dotyczącymi przedsiębiorczości. Im prościej tym lepiej! Przedsiębiorcy nie powinni tracić czasu na rozważanie, jak najsprawniej poruszać się w gąszczu przepisów. Szkoda energii, która powinna być użyta na zwiększanie ich konkurencyjności, na jak najsprawniejsze poruszanie się na rynku. Przepisy zawsze ograniczają. Dlatego powinno ich być możliwie mało, a formułowane powinny być możliwie prosto. Polskę czeka nie wprowadzanie przepisów wspomagających przedsiębiorczość, ale deregulacja prawna. Ktoś to musi wreszcie zrobić!

Jednak na razie chce u nas inwestować zarówno krajowy, jak i zagraniczny biznes. Piszę „na razie”, bowiem rosną nam istotni konkurenci, gotowi przejąć trwającą falę inwestycyjną. Ci konkurenci to przede wszystkim bardzo już bliskie Unii Europejskiej Bułgaria i Rumunia oraz nieco dalsze, ale też groźne, Turcja i Ukraina. Dwa ostatnie kraje nie mają raczej szans na szybkie przystąpienie do wspólnoty. Mimo to uważam, że polski interes wymaga ciągłego podtrzymywania tematu: „Ukraina w Unii Europejskiej”. Byłoby wspaniale, gdyby Ukraina stała się obszarem otwartym na nasze, polskie inwestycje, z korzyścią dla obu stron. Co do Turcji, to jej gospodarcza rola pozostaje w Europie niedoceniona. Potencjał Turcji (szczególnie w części zachodniej), wynikający z dużej ilości ludzi gotowych tanio pracować, rosnącej jakości pracy i stosunkowo niskich kosztów logistycznych przy transporcie do i na terenie Europy, trudno przecenić. Nie martwmy się jednak teraz Turcją, martwmy się raczej (rzecz jasna życzliwie) Rumunią. Już za pół roku ten dwudziestomilionowy kraj, utrzymujący kurs silnego rozwoju cywilizacyjnego, będzie naszym istotnym konkurentem w pozyskiwaniu inwestycji zagranicznych.

Czytam zapisane przed chwilą akapity i zastanawiam się, czy to nie dziwne, że prezydent pewnego środkowoeuropejskiego miasta wypowiada się w sprawach wielkiej polityki europejskiej. Mógłbym to uznać – nie całkiem poważnie – za jeden ze skutków akcesji Polski do Unii Europejskiej. W jednej chwili świat się skurczył, a nasz Wrocław stał się sąsiadem światowych metropolii.

Wracając do kwestii kolejnego poszerzenia Unii: jeśli tylko konkurencja podziała na nas tak, jak powinna, czyli mobilizująco, to zyskamy na tym procesie. A jeśli nie?

Wchłaniajmy więc możliwie wiele inwestycji z Zachodu i Wschodu, bowiem tworzą one miejsca pracy. Sprzyjajmy lokalnym inwestorom, bowiem tworzą oni miejsca pracy. Tak brzmi sentencja, którą nieustannie, do znudzenia powtarzam.

Wchłaniajmy i sprzyjajmy. W praktyce przekłada się to na systemy zachęt dla przedsiębiorców. Prawdę powiedziawszy, nie lubię tych systemów, bo nie podoba mi się wydawanie pieniędzy publicznych na proste wspieranie inwestycji. Uważam, że można byłoby się bez takich rozwiązań obejść, pod jednym wszelako warunkiem: musiałby najpierw powstać lepszy, prostszy i tańszy system podatkowy. A ponieważ na razie takiego nie ma i raczej w najbliższym czasie nie powstanie, trzeba konkurować z innymi krajami poprzez rozmaite zachęty dla inwestorów: specjalne strefy ekonomiczne, ulgi podatkowe.

Inni też tak robią. Na obronę tego niedoskonałego mechanizmu można powiedzieć, że ulgi stosowane w Unii Europejskiej są podporządkowane jednej zasadzie: suma ulg musi być mniejsza od sumy wpływów podatkowych po ich zastosowaniu. Gdyby nie ulgi, nie byłoby inwestycji, a więc i żadnych wpływów podatkowych, zarówno tych bezpośrednich, pojawiających się po ustaniu ulgi, jak i pośrednich, które zaczynają się wraz z początkiem inwestycji. Choć więc, co do zasady, negatywnie oceniam dopłaty i ulgi, to wiem dobrze, że świat z nich w jednej chwili nie zrezygnuje. Sztuka polega na tym, by owe zachęty stosować skuteczniej niż inni. A o tym, że nasz system słabo uwzględnia interesy rodzimych poddostawców i nie sprzyja tworzeniu centrów badawczo-rozwojowych, już wspominałem.

Jest jeszcze jedna cecha obecnych inwestycji, o której chciałbym koniecznie wspomnieć. Otóż inwestuje się u nas (i będzie się nadal inwestować?) zarówno w sektorze produkcyjnym, jak i usługowym. To dla nas bardzo dobra wia-

domość. O roli usług we współczesnej gospodarce napisano już wiele, nie będę więc powtarzał oczywistości. Rola ta na pewno będzie rosnąć. I trudno wyobrazić sobie lepszy scenariusz dla miast akademickich, a wśród nich dla Wrocławia, jak właśnie ich przeobrażenie w centra światowych obszarów rozwoju usług. To marzenie stanie się rzeczywistością, jeśli tylko będziemy wystarczająco twórczy.

Przemysł jednak wciąż pozostaje ogromnie ważnym segmentem gospodarki. Trzeba o tym pamiętać zwłaszcza w Polsce, która – ze zrozumiałych powodów – przechodziła w latach dziewięćdziesiątych głęboką fazę modernizacji i de facto deindustrializacji. Bardzo potrzebujemy nowoczesnego przemysłu i powstających w nim innowacji oraz miejsc pracy.